

## Teatralna Kicia – Marzyciele

Teatralna Kicia blog, 17 stycznia 2024

Link: <https://teatralna-kicia.tumblr.com/>

„Marzyciele” w reżyserii i adaptacji Michała Telegi w Teatrze Barakah przydarzyli mi się zupełnie przypadkiem, ale bardzo się cieszę, że tak mi się życie potoczyło, bo prawie przegapiłem naprawdę frapujący spektakl. Twórca sięga do filmu sprzed ponad 20 lat, by przez jego pryzmat przyjrzeć się problemom na wskroś aktualnym – seksualność, przynależność, czy trudność ze zdefiniowaniem samego siebie.

Bardzo mocno szanuję podjęcie tematu męskości i tego, jak bardzo może czuć się zagubiony mężczyzna w obecnym świecie, zwłaszcza że ostatnio dominuje w teatralnej przestrzeni kobieca perspektywa, słusznie naświatlająca toksyczną męskość i odpowiednio ją punktująca. Co fantastyczne, „Marzyciele” z Teatru Barakah nie tylko mówią o tej niedobrej męskości i nie tylko ją diagnozują, ale jednocześnie pokazują swoistą bezradność mężczyzn; rozerwanie pomiędzy tym, co jest wymagane a tym, co tak naprawdę chciane przez głównych zainteresowanych. I nie chciane tylko dlatego, że oczekuje od nas tego społeczeństwo, ale głównie dlatego, że potrzebujemy tego w głębi serca. To, że można w oderwaniu od swojej seksualności (mimo, że ona dominuje w spektaklu) chcieć po prostu porozmawiać, przytulić swojego przyjaciela i być zwyczajnie dla siebie delikatnym – potrzeba nam czulej męskości. Podobny temat próbował podejmować spektakl „niemęski” w Teatrze Starym, ale – jak wspominałem w tekście poświęconym temu konkretnemu przedstawieniu – poniósł sromotną klęskę, przez to właśnie, że nie potraktował problemu z należyłą pieczołowitością, ale przede wszystkim powagą.

Jedną ze scen, które mocno we mnie uderzyły, była sekwencja w której Marcin Piotrowiak staje przed widzami, na ekranach zawieszonych przy suficie pojawia się zegar odmierzający 10 minut – tyle czasu ma aktor aby, będąc w roli, rozplakać się na scenie. Stara się, karkołomnie wymyśla różne rozwiązania, od myślenia o śmierci babci, przez oglądanie sceny śmierci Mufasy z Króla Lwa aż do wachania cebuli. Jednak bezskutecznie; mimo usilnych prób nie udaje mu się osiągnąć zamierzonego celu w określonym czasie. Dobitnie uderzyło mnie to, że nawet w przestrzeni scenicznej nie ma miejsca, kolejny raz, na męskie łzy, realne czucie emocji, wyjście z pewnej postawy maczo niepokazującego ani krztyny słabości. Dobra, pomysłowa scena, mimo tego, że zagrana na nutach komediowych – dla mnie była przygnębiająca.

„Marzyciele” podchodzą do całej sytuacji śmiertelnie poważnie, jeśli chodzi o metodę badawczą i diagnozowanie, ale robią to z lekkim dystansem w odpowiednich momentach i trochę z uśmieszkiem. Dzięki temu, że jest momentami tak ciepło, bardziej mogą nas zmrozić sceny wygrane na zupełnie innym biegunie emocjonalnym niż pozytywna terapia męskiej bliskości. Na tym drugim biegunie mamy strzępy fabuły zaczerpnięte z filmu Bertolucciego, które przemykają na scenie uzupełniając o kolejne znaczenia warstwę odnoszącą się do kryzysu męskości. Fragmenty te są wybornie zagrane przez Monikę Kufel, której partneruje Dawid Tas – tak doskonalej Moniki Kufel nie widziałem w spektaklach w Barakah od lat. Przejmująca rola, a finałowy monolog wygłoszony ze łzami w oczach chwyta widza za twarz. I w sumie to szanuję, bo Kufel nie bierze jeńców: albo jej wierzysz i przepadasz albo poddajesz jej kreację w wątpliwość; i tak finalnie jesteś zmuszony ustąpić pod naporem emocji. Nie ma tutaj żadnej szansy na twoje zwycięstwo, widzu.

Gdzieś tam na zapleczu całej tej historii krąży również temat seksualności i tego, jak bardzo ona determinuje nas i to jak odbieramy świat, a także: jak świat odbiera nas – jednak troszeczkę ta warstwa mi zaginęła przysypana wcześniej opisanym, moim zdaniem głównym, motywem tego spektaklu.

Szanuję, że Michał Telega postawił na coś więcej niż tylko inscenizację filmu „Marzyciele”. Dzięki temu, że skupił się na wspomnianej przeze mnie kwestii męskości, mógł sobie pozwolić na wyciągnięcie całych wrażliwych bebechów tego problemu i nadbudować całość o, jak podejrzewam, swoją własną zagubioną perspektywę. Urzekła mnie także pewna nielinearność tego spektaklu; w dużej mierze można by dowolnie mieszać kolejność scen, a i tak powstałaby z nich całość z sensowną treścią, za co należą się ogromne brawa, bo czasem bardzo łatwo się potknąć o takie właśnie koncepcje i zgubić gdzieś ten wąty jak pajęcza nić ciąg przyczynowo skutkowy.

Wisienką na torcie jest obecność na scenie muzyków – Piotra Korzeniaka i Pawła Stusa, którzy grają na żywo i robią to bezbłędnie. Doskonale sprawdzają się nie tylko w ramach tła spektaklu, ale są jego pełnoprawną, istotną częścią, tworząc też poniekąd inną wersję lirycznej męskości stojącej na przekór oczekiwaniom wobec typowych „chłopaków z zespołu muzycznego”.

Najbardziej enigmatyczną osobą na scenie była postać grana przez Michała Nowickiego – stary człowiek na wózku inwalidzkim z aparycją Jerzego Urbana wyłowionego z dna jeziora. Ten tajemniczy mężczyzna jest obecny na scenie przez cały spektakl i obserwuje życiową miotanię bohaterów. W mojej głowie pojawiły się różne opcje: od nawiązania do sytuacji życiowej

twórcy filmowych „Marzycieli” aż do szerszej perspektywy przyjrzenia się potrzebom seksualnym (czy też ogólnemu poczuciu męskości) osób z niepełnosprawnością. Najpewniej nie dowiem się nigdy o co realnie chodziło, bo albo czegoś nie zrozumiałem albo nie doczytałem – cóż, dzięki bogu nie jestem ekspertem i pozostaną jeszcze dla mnie jakieś tajemnice na świecie, takie jak mnożenie przez osiem, co to jest tajga i kim był mężczyzna na wózku w spektaklu „Marzyciele”.

Pozwolę sobie w ramach zakończenia sparafrazować to, co usłyszałem ze sceny: mam gdzieś w głowie taki samotny pokój, w którym mieszka spektakl „Marzyciele” i czuje, że zamieszka w nim jeszcze na jakiś czas. Bo wracam myślami do tego, co zobaczyłem na scenie Teatru Barakah – a to dobry znak, bo lubię jak mi się spektakl zagnieździ w sercu tak, że aż ciężko oddychać.